

Jednym ze znaczących filmów mojej młodości była „Wielka ucieczka” ze Steve’em McQueenem i Charlesem Bronsonem. Ten widowiskowy film opowiadał o brawurowej ucieczce z niemieckiego obozu dla lotników amerykańskich niedaleko naszego dzisiejszego Żagania. Potrafiłszy opowiadać go sobie godzinami.

Mimo że żyłem przecież wtedy w cieniu strzeleckiego muru, za który mój ojciec codziennie wchodził na służbę, to jednak nigdy nie przyszło mi do głowy, że i tu mogą się zdarzyć równie malownicze ucieczki jak w studiach filmowych Hollywood. Tymczasem pomysłowość i umiłowanie wolności wśród polskich więźniów wcale nie były mniejsze od tych, jakimi wykazywali się aktorzy na planie. Tak, w Strzelcach zdarzały się ucieczki i im to właśnie poświęcam obszerny rozdział tej książki. Przynajmniej na podstawie dwóch takich historii można by napisać całkiem zgrabny scenariusz filmu.

Muszę tu jednak rozczarować tych, którzy kibicują uciekinierom (bo w kinie zawsze jest się po stronie uciekającego), bo jak dotąd żadna ucieczka ze strzeleckiego więzienia się nie powiodła. Na potrzeby tej książki odnalazłem artykuł, jaki opublikowano w „Nowej Trybunie Opolskiej” w 1998 roku, tuż po ucieczce groźnego kryminalisty z jednego z najlepiej strzeżonych więzień w Polsce – zakładu karnego w Czarnem. Mówiłem wtedy, że jeżeli urządzenia funkcjonują, a ludzie pracują jak należy, to ucieczka nie powinna się zdarzyć. W Czarnem spieprzyli sprawę. Dali uśpić swoją czujność, źle przeszukiwali cele, no i w końcu ktoś to wykorzystał. Skazani wchodzą w każdą lukę w systemie ochrony, na kombinowanie mają mnóstwo czasu. Rozmawiałem kiedyś ze skazanym, który odsiadywał u nas 25 lat za napad na pocztę w Gdańsku. Przyznał, że precyzyjnie wie, w którym miejscu jaką wysokość ma więzienny mur. Z nudów policzył

116 bowiem cegły w murze, a potem przemnożył przez ich grubość. Więzieniu w Strzelcach Opolskich pod względem zabezpieczeń daleko do legendarnego Alcatraz, ale uciec z niego jest równie trudno jak z tamtej twierdzy na wyspie.

Owszem, w Strzelcach Opolskich uciekali więźniowie, którzy pracowali poza murami, ale samych murów sforsować się nikomu nie udało. Raz tylko wypuszczono za bramę bez dozoru kilku pracujących na wolności skazanych, ale szybko błąd naprawiono. Nie znaczy to, że nie podejmowano malowniczych prób ucieczek.

Paradoksalnie o jednej z nich dowiedziałem się dopiero na emeryturze, gdy zacząłem czytać dokumenty IPN na temat strzeleckiego więzienia. Natrafiłem na obszerne opracowanie dr. Stefana Białka, który na podstawie archiwów badał w naszym kryminale przypadki samobójstwa, ale nie tylko. Bo proszę, do czego się dokopał.

Był rok 1951, apogeum stalinizmu i ustrojowej przemocy. Centralne Więzienie Karne w Strzelcach Opolskich było wtedy przeznaczone dla szczególnie niebezpiecznych więźniów politycznych z kategorii A i B. Warto w całości przytoczyć definicje obu kategorii, aby oddać klimat tamtych czasów. I tak kategoria A to byli wrogowie Polski Ludowej, nie rokujący nadziei na zmianę poglądów po wyjściu na wolność, skazani na kary powyżej 10 lat za szpiegostwo, przynależność do organizacji zbrodniczych, nielegalne posiadanie broni, zbrodnie stanu, zbrodnie faszystowskie, sabotaż i notoryczne przestępstwa pospolite. Kategoria B to były osoby z wyrokami powyżej 10 lat więzienia, ale będące na wolności jedynie narzędziem wykorzystywanym przez wrogie ośrodki, społecznie niebezpieczne, które jednak mogły być w przyszłości pożyteczne dla ogółu.

Warunki w Strzelcach były wtedy niezwykle surowe, a funkcjonariusze bywali bezduszni i brutalni. Dr Białek opisuje na przykład, jak pewnego dnia ośmiu skazanym przetransportowanym do Strzelec z więzienia

w Raciborzu wydano kolacje w wiadrze, nie dając im misek ani łyżek. To jedna z wielu ówczesnych szykan.

Historia, o której za moment przeczytacie, nie jest tylko sensacyjnym zapisem pewnych brawurowych zdarzeń. Ona jest także wyrzutem sumienia służby więziennej, a przynajmniej powinna nim być w moim odczuciu. Bo pokazała, jak znaczny był stopień zdemoralizowania naszych szeregów w pewnym okresie współczesnej historii Polski.

Ja bardzo poważnie traktowałem i do dziś traktuję swoją służbę, więc nie zamierzam milczeć na ten temat ani mówić, że mnie to nie dotyczy, bo ja zacząłem pracę dużo, dużo później. Owszem, nie dotyczy mnie osobiście, lecz wpływa na moje odczuwanie tego, co działo się w zakładzie, którym kierowałem tyle lat. Cieszę się zatem, że natrafiłem na ślad tych słusznie ukaranych nadużyć i zbrodni, bo nie sztuka mieć dobre samopoczucie, gdy się nie zna faktów z przeszłości. Sztuką jest uporać się z nimi, choćby nie wiem jak bolało.

Wcześniej, opisując postać gen. Paula Geibla, posłużyłem się cytatem z książki Jacka Kuronia „Wiara i wino”. Myślę, że kolejny cytat pozwoli zrozumieć, co chciałem powiedzieć przy okazji historii ucieczki z 1951 roku. Zapisał Kuroń, że: *Życ trzeba na poziomie swojej świadomości. Dla nas jest to przekleństwem, ale inaczej nie wolno. Gdybyśmy byli głupszy, mniej wiedzieli o świecie, mniej ten świat rozumieli, byłoby nam pewnie wygodniej. Ale nigdy nie wolno tak żyć, żeby się tego wstydzic.*

A teraz wróćmy do przerwane go wątku...

Ciężkie warunki były jedną z głównych przyczyn ucieczek podejmowanych przez więźniów, ale głównie w gospodarstwie rolnym w Suchych Łanach. Tu, za murami, nie było już tak łatwo. A jednak znalazła się grupa śmiałków, która postanowiła dokonać tej sztuki. Grupa była pokaźna: dwadzieścia jeden osób. Tak zwani antypaństwowcy, co nie znaczy, że wszyscy z jednego, opozycyjno-patriotycznego pnia. Bo do tej grupy kwalifikowano zarówno kolaborantów gestapo czy żołnierzy Wehrmachtu, jak

118 i bojowników podziemnego państwa AK. A zresztą, to były wyroki z lat czterdziestych, klasyfikacja była wtedy dość swobodna, bardzo łatwo robiono z patriotów zdrajców, a z kombatantów kolaborantów.

W tym przypadku historia, ta przez duże H, zakpiła sobie z dziejowych animozji i we wspólnym knowaniu przeciw władzom więzienia połączyła folksdojczka, żołnierza Wehrmachtu, z wywiadowcą z Armii Krajowej. Ten pierwszy nazywał się Alfred Celmer, ten drugi – Kazimierz Kulig, pseudonim „Kozioł”. Swą żołnierską kartę i tak zbrukali tuż po wyzwoleniu, kiedy to Celmer przystał do zbrojnej bandy, z którą dokonywał rabunków, zaś Kulig narobił gigantycznych machlojek jako dyrektor fabryki papieru w Żywcu. To oni byli pomysłodawcami i głównymi organizatorami ucieczki.

Wspierał ich Władysław Mechetiuk, postać o równie skomplikowanych losach. Najpierw uwolnił z hitlerowskiego aresztu grupę polskich komunistów i walczył w szeregach I Armii Wojska Polskiego w ZSRR, po czym zdezerterował, aby przystąpić do AK. Po wyzwoleniu zapisał się do komunistycznej Polskiej Partii Robotniczej, ale gdy tylko nadarzyła się okazja, napadł na sowieckiego, sojuszniczego przecież żołdaka, aby zabrać mu karabin maszynowy. Nowa legitymacja partyjna uwierała go jednak tak bardzo, że postanowił zabić przewodniczącego PPR na Dolnym Śląsku. Pomylił jednak osoby i zastrzelił przypadkowego człowieka, tak przynajmniej wynikało z aktu oskarżenia, bo sam Mechetiuk upierał się, że sprawę spreparowała bezpieka. Dostał karę śmierci, zamienioną potem na dożywocie, a jeszcze potem na 12 lat, bo wyszło, że śledczy rzeczywiście go torturowali. Taki to był burzliwy i niebezpieczny czas.

W miejscu, gdzie dziś znajduje się w kryminale dział mechaniczny, był wtedy magazyn wyrobów półfabrykatów. Biegł tam kanał, w którym w przyszłości miano położyć rury centralnego ogrzewania – zakryty betonowymi płytami. Miał 60 cm głębokości i 40 cm szerokości. Z tego kanału

właśnie więźniowie umyślili poprowadzić podkop poza więzienny mur. Ale do tego potrzebowali ludzi i sprzętu. Do grupy inicjatywnej dołączyli zatem kolejni skazani. Kogóż tu nie było... Żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych obok żołnierza Dywizji Nord SS. Kombatant kampanii wrześniowej 1939 obok zwykłego złodzieja piorunochronów, uznanego przez władzę ludową za sabotażystę. Bandyta podający się za ubeka i rabujący z bronią obok ochotnika z Freikorpsu, prześladowającego Polaków i wysyłającego ich do obozu koncentracyjnego. W oficjalnej nomenklaturze aparatu represji byli oni nazywani więźniami antypaństwowymi, a większość z nich należała do kategorii A – wrogowie Polski Ludowej, nie rokujący nadziei na zmianę.

Dziś narzuca się nam czarno-białą, uproszczoną wersję historii, a my lubimy ją bezrefleksyjnie przyjmować. Tymczasem skład osobowy zaledwie części grupy uciezkowej pokazuje, jak bardzo skomplikowane były wojenne i powojenne losy Polaków, jak bardzo miotała nimi historia, jak często bohater stawał się łotrem albo oprawca ofiarą – i na odwrót. Przekonałem się o tym, gdy czytałem tę część dokumentu IPN autorstwa dr. Białka, w którym opisał on, w sposób wyłącznie skrócony, życiorysy niektórych bohaterów tamtych zdarzeń. Kiedyś czytałem reportaż opolskiego dziennikarza Zbigniewa Górniaka o poplątanych losach Ślązaków. Ten tekst nosił tytuł „Historia to jest taka wariatka”. Myślę, że nie tylko do Ślązaków powinno się odnosić ten celny i niesztampowy tytuł. Tak, historia to jest taka wariatka. Ale zakończmy te dygresje historiozoficzne i skupmy się na wątku sensacyjnym.

Jak pisze dr Białek, 11 stycznia 1951 roku Władysław Mechetiuk, elektryk z zawodu, zakłada w kanale instalację elektryczną. Kabel i lampę ukradł dla niego inny skazany. Po kilku dniach więźniowie zaczynają drążyć podkop. Mają dłuto, dwa młotki, metalowe łopatki, wózek ze skrzynką do wywożenia urobku, wiadro do wybierania podsiąkającej wody i robocze ubrania. Nieźle, jak na ciężkie więzienie.

Wydobytą z podkopu ziemię wsypują do kanału, który biegnie wokół całego magazynu. Po dziesięciu dniach podkop jest na tyle długi, że więźniom na jego przodku zaczyna brakować powietrza. Potrzeba jest matką wynalazku, a pomysłowość skazanych nie zna granic: dwaj inni elektrycy konstruuje prymitywny wentylator, a Mechetiuk instaluje go w tunelu.

Nie tylko gospodarka była wtedy planowa, także pomniejsze projekty: skazani zaplanowali ukończyć tunel 1 lutego i wtedy uciec, ale tego dnia natrafili na betonowy fundament muru więziennego. Ucieczkę przełożono, ale fundament i tak zdołali sforsować. Wolność była coraz bliżej.

Tak niejednorodna i liczna grupa musiała być rozsadzana wzajemnymi podejrzeniami i nieufnością. Kilku więźniów nie ufało organizatorom, bojąc się, że zostaną wykorzystani jako siła robocza, a potem nie dopuści się ich do ucieczki. Jak się potem okazało, ta nieufność miała swoje psychologiczne uzasadnienie. Jednak bardziej niż siebie nawzajem skazani bali się strażników, z którymi mogło dojść do starcia po wyjściu z tunelu. Dlatego przygotowali sobie butelki z benzyną i prowizoryczne noże wyszlifowane z kawałków ukradzionego metalu.

Co zamierzali robić po opuszczeniu tunelu po drugiej stronie muru? Jaki był ich plan? I tu dopiero zaczyna się najbardziej sensacyjny wątek historii. Po wyjściu z podziemia dowództwo przejął skazany pochodzący z Raszowej, więc znający dobrze Opolszczyznę (ten od kradzieży piorunochronów). Pod jego przewodem zbiegowie mieli schronić się w lasach pomiędzy Opolem i Częstochową i dotrzeć nimi do leśniczówki w Szymiszowie, na którą chcieli napaść celem zdobycia broni. Uzbrojeni, zamierzali dokonać kolejnego napadu – tym razem na posterunek Milicji Obywatelskiej, żeby zdobyć jeszcze więcej broni. Potem, już pod nowym dowództwem w osobie byłego żołnierza Narodowych Sił Zbrojnych, chcieli się przebić na Podbeskidzie i dołączyć tam do którejś z antypaństwowych grup zbrojnych. Gdyby nie nawiązali

z żadną kontakt, mieli utworzyć swój własny oddział i walczyć przeciwko PRL.

Natomiast były członek Freikorpsu deklarował, że uzbrojony, chce się przedostać do Niemiec Zachodnich. Jeden z przyszłych uciekinierów natomiast planował udać się do ambasady ZSRR w Warszawie i prosić tam o zmianę wyroku. Nie wiadomo jednak, czy naprawdę, gdyż zeznał on to już po wpadce.

Ta nastąpiła 2 lutego za sprawą skazanego o pseudonimie „Gibki”. To jednak nie był jego pseudonim jawny, ten skazany był współpracownikiem służby więziennej, nieformalnym kontaktem operacyjnym lub – jak my to nazywaliśmy – systemem wczesnego ostrzegania. Co ciekawe, był to człowiek od samego początku mocno zaangażowany w drażnienie podkopu. Swoją decyzję tak tłumaczył potem na piśmie (przytaczam za dr. Stefanem Białkiem): *Po otrzymaniu tej wiadomości [że ucieczka nastąpi 2 lutego wieczorem – przyp. mój, A.K.] ucieszyłem się, lecz w nocy zacząłem myśleć, w jaki sposób będę żył, gdy wydostanę się z więzienia. Doszedłem do wniosku, że muszę rabować, co doprowadzi do tego, że jeszcze mnie zastrzelą lub ujmą i skazą na karę śmierci, co podziało bardzo na mnie, gdyż chcę jeszcze ujrzeć się z rodziną i pracować uczciwie. Wobec tego postanowiłem o całej ucieczce zameldować władzom więziennym.*

Władze więzienne zareagowały alertem. Przy miejscu wskazanym przez „Gibkiego” jako potencjalny wylot podkopu ustawiono funkcjonariuszy z bronią. Na zwyżkach wystawiono karabiny maszynowe. Zarządzono apel, sprawdzono stan liczebny, a wskazanych przez „Gibkiego” współników osadzono w izolatkach. Tunel miał długość 10 metrów i sięgał aż 3 metry poza granicę muru. Od powierzchni dzieliła go zaledwie 30-centymetrowa warstwa ziemi.

Na drugi dzień w celi na sznurze zrobionym z rękawa od koszuli powiesił się jeden z niedoszłych uciekinierów. To był ten skazany, który zamierzał uciekać do Niemiec. Jednak przybyły na miejsce prokurator wojskowy z Opola miał duże wątpliwości co do tej śmierci. Ciało denata

122 | nosiło bowiem ślady ciężkiego pobicia i zrodziło się podejrzenie, że zostało ono powieszono już po śmierci. Zwłoki przewieziono wobec tego do Zakładu Medycyny Sądowej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, a sekcję przeprowadzili uznani specjaliści, których nazwisk nie sposób nie wymienić. To prof. Jan Olbrycht i dr Marian Kusiak. Dlaczego są tacy istotni? Ponieważ ten duet w 1949 roku na zlecenie władz kościelnych i w związku z procesem beatyfikacyjnym królowej Jadwigi badał jej szczątki. A w 1963 roku, na wniosek kardynała Karola Wojtyły, późniejszego papieża Jana Pawła II, naukowcy ci zbadali czaszkę z relikwiarza św. Stanisława ze Szczepanowa, męczennika, którego, jak pamiętamy, zamordował król Bolesław Śmiały, zwany też Szczodrym.

Naukowców celowo nie poinformowano, że zmarły był więźniem. Sekcja zwłok wykazała, że denat był bity w głowę twardym przedmiotem długości ok. 30 cm. Urazy głowy stały się przyczyną śmierci, a u schyłku życia lub po śmierci zwłoki zostały powieszono, i to w sposób niezwykle brutalny. Sprawa oparła się o Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, które nakazało bezwzględne wykrycie funkcjonariuszy odpowiedzialnych za znęcanie się i mord. I znów mamy do czynienia ze złamaniem stereotypu, bo przecież co by nam dziś przeszkodziło sądzić, że w samym środku stalinizmu ministerstwo machnie ręką na zabójstwo więźnia planującego ucieczkę, na dodatek będącego Niemcem, który podczas okupacji wysyłał Polaków do obozów koncentracyjnych. A jednak nie machnęło...

Sam wiceminister MBP, gen. Konrad Świetlik, nakazał informować się bezzwłocznie o wynikach śledztwa, które dość szybko przyniosło efekty. Okazało się, że grupa uciezkowa została poddana torturom, które – jak napisał dr Białek – mogły być porównywalne tylko z tymi, jakie stosowało gestapo. Brutalne bicie miało na celu wymuszenie zeznań od niedoszłych uciekinierów, ale też odstraszenie innych więźniów od podejmowania w przyszłości jakichkolwiek prób ucieczki. W biciu



uczestniczył nawet sam naczelnik naszego więzienia. Jeden z więźniów, słysząc zza ściany krzyki tłuczonych kompanów, wybił szybę w oknie i próbował sobie ze strachu podciąć żyły. Nie zdążył, bo został pobity do nieprzytomności pałką i zostawiony na betonowej posadzce. Oczywiście potwierdziło się, że tamto powieszenie było tylko próbą zatuszowania zabójstwa.

Siedmiu funkcjonariuszy wywalono ze służby, wszyscy oni zostali aresztowani i mieli sprawy karne. Wielu innych też ukarano aresztami, a potem dyscyplinarnie. Władza zdecydowała się na surowy osąd. Rok później zapadły wyroki. Funkcjonariusz, który pobił śmiertelnie więźnia, dostał osiem lat więzienia. Naczelnik – trzy lata. Kierownik ochrony – dwa lata. Trzech innych funkcjonariuszy dostało półtora roku. Wszystkich zdegradowano do stopnia szeregowca.

Jak ja to oceniam z dzisiejszej perspektywy? Skąd ta bezwzględność władzy wobec swoich? Humanizm? Prawa człowieka? Współczucie dla skrzywdzonych więźniów? Bynajmniej. Raczej surowy przykład dla innych funkcjonariuszy i innych zakładów karnych. To był czas, kiedy ze względu na złe warunki odsiadki i brutalne traktowanie więźniów podejmowano wiele ucieczek. Nieco wcześniej dwie udane ucieczki miały miejsce w Sieradzu, w samych Strzelcach Opolskich kilka miesięcy wcześniej uciekł ze szpitala więzień. Więc niedopuszczenie do ucieczki stało się jednym z najważniejszych zadań funkcjonariusza, zapisanym w regulaminie służby. Ucieczkę więźnia traktowano zatem jako niewykonanie rozkazu przez funkcjonariusza.

Ale z drugiej strony ten rygoryzm powodował fatalną postawę funkcjonariuszy. Bo w obawie przed konsekwencjami wynikającymi z potencjalnych ucieczek, udanych bądź udaremnionych, stawali się oni szczególnie wyczuleni i brutalni. Dokładały się do tego nieprzygotowanie zawodowe i niski poziom wykształcenia funkcjonariuszy, indoktrynacja polityczna oparta na stalinowskiej konieczności czujności rewolucyjnej

124 i nakaz bezwzględnej walki z wrogami demokracji ludowej i reakcyjnym podziemiem, liczne pisma szefostwa więziennictwa polecające, by wobec winnych dopuszczenia do uciezek stosować zwolnienia dyscyplinarne i kierować sprawę do postępowania sądowego.

